

Praca organiczna

Teologia Polityczna



Łukasz Ferchmin

Praca organiczna w czasach currency wars. Przypadek wielkopolski

Wielkopolska ma własne porachunki z historią. Nie byliśmy główną areną walk powstańczych w XIX wieku (choć we wszystkich nasi dziadowie brali udział), ale za to solidarnie doświadczaliśmy skutków ich klęsk. Jednocześnie jednak klęski te dawały nam zawsze impuls do poszukiwania nowej, własnej drogi. Przecież dwie z nich: wojny napoleońskie i Powstanie Listopadowe, to początki ruchu organicznikowskiego w Wielkopolsce. To dwa kluczowe momenty, łączone z postaciami generała Chłapowskiego i doktora Marcinkowskiego. To niezwykle chlubna karta naszej historii, nie dziwi więc, że wielu chciałoby się czuć jej spadkobiercami - tak jak skrajnie antyromantyczna szkoła krytyki literatury Marii Janion.

Wiele rzeczy potwierdza przeciwstawność poglądów wielkopolskich romantyków i pozytywistów. Ci drudzy zrezygnowali z działalności konspiracyjnej na rzecz tzw. „legalizmu poznańskiego”. Zrezygnowali z walki zbrojnej i jej przygotowań na rzecz tworzenia podstaw awansu cywilizacyjnego ziem polskich. Tworzyli towarzystwa naukowe, angażowali się w filantropię, edukację, zakładali spółki przemysłowe, banki spółdzielcze, wspierali rodzącą się w tym okresie warstwę

robotniczą. Krótko mówiąc – stanowili jakby odległy prototyp przyszłej epoki postpolitycznej, w stylu Clintonowskim – gospodarka, głupku. Czy na pewno?

Całe szczęście jest to obraz w zupełności fałszywy. Wartości najważniejsze dla Dezyderego Chłapowskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Piotra Wawrzyniaka, Augustyna Szamarzewskiego, członków Spółki Bazar Poznański i wielu, wielu innych, były dokładnie takie same, jak te, które wyznawało poprzedzające ich pokolenie romantyków. Chodziło mianowicie o polską podmiotowość. Chodziło o to, aby w warunkach szalejącego niemieckiego szowinizmu czasów HaKaTy dać żywiołowi polskiemu możliwość przetrwania i budowy podstaw (intelektualnych i materialnych) przyszłej suwerenności. Przykładowo – czy do narracji postpolitycznej pasowałoby zjawisko, które miało miejsce w spółce Bazar Poznański, gdzie powierzchownie sklepów mogli wynająć wyłącznie polscy kupcy? Czyż to nie jawny szowinizm? A wyrzucenie z hukiem za drzwi komunisty Marcina Kasprzaka z zebrania udziałowców tej samej spółki, czyż nie świadczy dobitnie o głębokim patriotyzmie i przywiązaniu do narodowej tożsamości, miast nowinkarskich, internacjonalistycznych ideologii?

Powiedzmy to jeszcze raz, dobitnie – wielkopolski (ale także polski) pozytywizm był do szpiku kości przywiązany do idei niepodległej Polski jako wspólnoty ducha. Wbrew fałszywym stereotypom nie miał nic wspólnego z postawą „nie wyszły nam powstania, więc rzućmy wreszcie w kąć mesjanizm i, do cholery, urządzmy się wreszcie wygodnie na tym świecie”.

Jeżeli pozytywiści angażowali się w edukację, to po to, aby mieć możliwość wychowania polskich patriotów. Jeśli angażowali się w filantropię, to po to, aby oddalić zagrożenie rewolucji proletariackiej, która sprawie polskiej mogła tylko zaszkodzić. Jeśli zakładali spółki i budowali fabryki, to po to, aby stanowiły przeciwwagę dla niemieckiego monopolistycznego kapitalizmu.

Od drugiej połowy XIX wieku minęło 150 lat. Mamy za sobą 50 lat „belle epoque”, 50 lat zawieruchy 2 wojen światowych, a wreszcie 50 lat globalizacji, epoki, jakby chcieli niektórzy, post-historycznej i post-politycznej. Epoki stabilizacji, „urządzenia się”, niepohamowanej

konsumpcji. Epoki, w której spory ideologiczne, ba, wszystkie spory o pryncypia odsunięto na dalszy plan, jako szkodliwe i konfliktogenne. Wieszczono nam niekończącą się epokę pokoju i dobrobytu, gdzie jedynym dopuszczalnym światopoglądem jest neutralność światopoglądowa.

Na naszych oczach ten miraż się rozwiewa. Bezsprzecznie epoka dobrobytu na kredyt ujawnia dziś właśnie całą swą kruchość i fałsz. Moloch się zachwiał, rządy tracą pod nogami grunt niekwestionowanych przez dziesięciolecia dogmatów. Trwa gorączkowe poszukiwanie jakiegokolwiek punktu oparcia.

I owszem – nowe punkty oparcia wydają się dziwnie znajome. Jakbyśmy przeżywali zbiorowe, europejskie deja-vu, nagły powrót do dziewiętnastowiecznego, powiedeńskiego koncertu mocarstw. Furda interes wspólnej Europy, teraz kanclerz Niemiec broni wyłącznie interesów własnego kraju (czy to kogoś dziwi?). Nie inaczej działa prezydent Francji i pozostali wielcy soliści. Trwa światowa „currency war”, wali się w gruzy solidarność wspólnoty europejskiej, światowa upadła zanim zdążyła się narodzić. Naprędce odkurza się dawno zapomniane pojęcia, jak suwerenność, interes narodowy, a także pojęcia wyklęte, jak protekcjonizm. To tendencja widoczna wszędzie... tylko nie w Polsce.

My zaś, wciąż zachłyśnięci tak niedawno zdobytą wolnością, nieodmiennie wpisujemy się w dychotomię opisaną przez hrabiego Fredrę – Polski sarmackiej i nowinkarskiej. Grzechy sarmatów znamy. Współcześni nowinkarze zaś (dominujący w dyskursie publicznym) wyznają pogląd, że wszystko to, co wiąże się z otwarciem (w domyśle – na „cywilizację”), wyjściem z narodowego grajdoła, procesem międzynarodowej integracji, jest czymś wysoce pożądanym. Stąd zestaw pojęć właśnie wracający do łask na salonach ubóstwianego przecież Zachodu, musi budzić ich konfuzję. Jakże to bowiem, czyżby integracja europejska miała ulec zahamowaniu? Czy projekt wspólnej waluty musi upaść? Czy trend liberalizacji handlu światowego nagle ulega odwróceniu? Czyż mamy, zaledwie po dekadzie-dwóch, znów diametralnie zmieniać poglądy?...

Musimy im pomóc. Musimy pokazać, że mieliśmy już w historii naszego kraju takie momenty, gdy modernizacja szła w parze z narodową podmiotowością. Gdy wzrost ekonomiczny, rozwój edukacji i filantropii szły pod sztandarem nie rezygnacji z polskości, ale jej obrony. I właśnie wokół tej wartości jednoczyło się wiele bardzo różnych opcji politycznych, chyba tylko poza Marcinem Kasprzakiem.

Któż ma przekonać do tego naszych współziomków, jeśli nie my, Wielkopolanie? Przecież to my właśnie poprzez budowę cywilizacyjnych podwalin państwowości wygraliśmy najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. To my potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, aby ten potencjał wnieść jak wiano Wielkopolski do rodzącej się wolnej Polski. Teraz też jest moment historyczny, aby znaleźć wspólny mianownik dla poglądów wielu opcji. Wzorem z Zachodu niech będzie (przepraszam wrażliwych za brzydkie słowo) interes narodowy.

Łukasz Ferchmin

Wielkopolska ma własne porachunki z historią. Nie byliśmy główną areną walk powstańczych w XIX wieku (choć we wszystkich nasi dziadowie brali udział), ale za to solidarnie doświadczaliśmy skutków

ich klęsk. Jednocześnie jednak klęski te dawały nam zawsze impuls do poszukiwania nowej, własnej drogi. Przecież dwie z nich: wojny napoleońskie i Powstanie Listopadowe, to początki ruchu organicznikowskiego w Wielkopolsce. To dwa kluczowe momenty, łączone z postaciami generała Chłapowskiego i doktora Marcinkowskiego. To niezwykle chlubna karta naszej historii, nie dziwi więc, że wielu chciałoby się czuć jej spadkobiercami - tak jak skrajnie antyromantyczna szkoła krytyki literatury Marii Janion.

Wiele rzeczy potwierdza przeciwstawność poglądów wielkopolskich romantyków i pozytywistów. Ci drudzy zrezygnowali z działalności konspiracyjnej na rzecz tzw. „legalizmu poznańskiego”. Zrezygnowali z walki zbrojnej i jej przygotowań na rzecz tworzenia podstaw awansu cywilizacyjnego ziem polskich. Tworzyli towarzystwa naukowe, angażowali się w filantropię, edukację, zakładali spółki przemysłowe, banki spółdzielcze, wspierali rodzącą się w tym okresie warstwę robotniczą. Krótko mówiąc – stanowili jakby odległy prototyp przyszłej epoki postpolitycznej, w stylu Clintonowskim – gospodarka, głupku. Czy na pewno?

Całe szczęście jest to obraz w zupełności fałszywy. Wartości najważniejsze dla Dezyderego Chłapowskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Piotra Wawrzyniaka, Augustyna Szamarzewskiego, członków Spółki Bazar Poznański i wielu, wielu

innych, były dokładnie takie same, jak te, które wyznawało poprzedzające ich pokolenie romantyków. Chodziło mianowicie o polską podmiotowość. Chodziło o to, aby w warunkach szalejącego niemieckiego szowinizmu czasów HaKaTy dać żywiłowi polskiemu możliwość przetrwania i budowy podstaw (intelektualnych i materialnych) przyszłej suwerenności. Przykładowo – czy do narracji postpolitycznej pasowałoby zjawisko, które miało miejsce w spółce Bazar Poznański, gdzie powierzchownie sklepów mogli wynająć wyłącznie polscy kupcy? Czyż to nie jawny szowinizm? A wyrzucenie z hukem za drzwi komunisty Marcina Kasprzaka z zebrania udziałowców tej samej spółki, czyż nie świadczy dobitnie o głębokim patriotyzmie i przywiązaniu do narodowej tożsamości, miast nowinkarskich, internacjonalistycznych ideologii?

Powiedzmy to jeszcze raz, dobitnie – wielkopolski (ale także polski) pozytywizm był do szpiku kości przywiązany do idei niepodległej Polski jako wspólnoty ducha. Wbrew fałszywym stereotypom nie miał nic wspólnego z postawą „nie wyszły nam powstania, więc rzućmy wreszcie w kąć mesjanizm i, do cholery, urządzmy się wreszcie wygodnie na tym świecie”.

Jeżeli pozytywiści angażowali się w edukację, to po to, aby mieć możliwość wychowania polskich patriotów. Jeśli angażowali się w filantropię, to po to, aby oddalić zagrożenie rewolucji proletariackiej,

która sprawie polskiej mogła tylko zaszkodzić. Jeśli zakładali spółki i budowali fabryki, to po to, aby stanowiły przeciwwagę dla niemieckiego monopolistycznego kapitalizmu.

Od drugiej połowy XIX wieku minęło 150 lat. Mamy za sobą 50 lat „belle époque”, 50 lat zawieruchy 2 wojen światowych, a wreszcie 50 lat globalizacji, epoki, jakby chcieli niektórzy, post-historycznej i post-politycznej. Epoki stabilizacji, „urządzenia się”, niepoahamowanej konsumpcji. Epoki, w której spory ideologiczne, ba, wszystkie spory o pryncypia odsunięto na dalszy plan, jako szkodliwe i konfliktogenne. Wieszczono nam niekończącą się epokę pokoju i dobrobytu, gdzie jedynym dopuszczalnym światopoglądem jest neutralność światopoglądowa.

Na naszych oczach ten miraż się rozwiewa. Bezspornie epoka dobrobytu na kredyt ujawnia dziś właśnie całą swą kruchość i fałsz. Moloch się zachwiał, rządy tracą pod nogami grunt niekwestionowanych przez dziesięciolecia dogmatów. Trwa gorączkowe poszukiwanie jakiegokolwiek punktu oparcia.

I owszem – nowe punkty oparcia wydają się dziwnie znajome. Jakbyśmy przeżywali zbiorowe, europejskie déjà-vu, nagły powrót do dziewiętnastowiecznego, powiedeńskiego koncertu mocarstw. Furda interes wspólnej Europy, teraz kanclerz Niemiec broni wyłącznie interesów własnego kraju (czy to kogoś dziwi?). Nie inaczej działa prezydent Francji i pozostali wielcy soliści. Trwa światowa „currency war”, wali się w gruzy solidarność wspólnoty europejskiej, światowa upadła zanim zdążyła się narodzić. Naprędce odkurza się dawno zapomniane pojęcia, jak suwerenność, interes narodowy, a także pojęcia wyklęte, jak protekcjonizm. To tendencja widoczna wszędzie... tylko nie w Polsce.

My zaś, wciąż zachłyśnięci tak niedawno zdobytą wolnością, nieodmiennie wpisujemy się w dychotomię opisaną przez hrabiego Fredrę – Polski sarmackiej i nowinkarskiej. Grzechy sarmatów znamy. Współcześni nowinkarze zaś (dominujący w dyskursie publicznym) wyznają pogląd, że wszystko to, co wiąże się z otwarciem (w domyśle – na „cywilizację”), wyjściem z narodowego grajdoła, procesem międzynarodowej integracji, jest czymś wysoce pożądanym. Stąd zestaw pojęć właśnie wracający do łask na salonach ubóstwianego przecież Zachodu, musi budzić ich konfuzję. Jakże to bowiem, czyżby integracja europejska miała ulec zahamowaniu? Czy projekt wspólnej

waluty musi upaść? Czy trend liberalizacji handlu światowego nagle ulega odwróceniu? Czyż mamy, zaledwie po dekadzie-dwóch, znów diametralnie zmieniać poglądy?...

Musimy im pomóc. Musimy pokazać, że mieliśmy już w historii naszego kraju takie momenty, gdy modernizacja szła w parze z narodową podmiotowością. Gdy wzrost ekonomiczny, rozwój edukacji i filantropii szły pod sztandarem nie rezygnacji z polskości, ale jej obrony. I właśnie wokół tej wartości jednoczyło się wiele bardzo różnych opcji politycznych, chyba tylko poza Marcinem Kasprzakiem.

Któż ma przekonać do tego naszych współziomków, jeśli nie my, Wielkopolanie? Przecież to my właśnie poprzez budowę cywilizacyjnych podwalin państwowości wygraliśmy najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. To my potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, aby ten potencjał wnieść jak wiano Wielkopolski do rodzącej się wolnej Polski. Teraz też jest moment historyczny, aby znaleźć wspólny mianownik dla poglądów wielu opcji. Wzorem z Zachodu niech będzie (przepraszam wrażliwych za brzydkie słowo) interes narodowy.

Łukasz Ferchmin

Wielkopolska ma własne porachunki z historią. Nie byliśmy główną areną walk powstańczych w XIX wieku (choć we wszystkich nasi dziadowie brali udział), ale za to solidarnie doświadczaliśmy skutków ich klęsk. Jednocześnie jednak klęski te dawały nam zawsze impuls do poszukiwania nowej, własnej drogi. Przecież dwie z nich: wojny napoleońskie i Powstanie Listopadowe, to początki ruchu organicznikowskiego w Wielkopolsce. To dwa kluczowe momenty, łączone z postaciami generała Chłapowskiego i doktora Marcinkowskiego. To niezwykle chlubna karta naszej historii, nie dziwi więc, że wielu chciałoby się czuć jej spadkobiercami - tak jak skrajnie antyromantyczna szkoła krytyki literatury Marii Janion.

Wiele rzeczy potwierdza przeciwstawność poglądów wielkopolskich romantyków i pozytywistów. Ci drudzy zrezygnowali z działalności konspiracyjnej na rzecz tzw. „legalizmu poznańskiego”. Zrezygnowali z walki zbrojnej i jej przygotowań na rzecz tworzenia podstaw awansu cywilizacyjnego ziem polskich. Tworzyli towarzystwa naukowe, angażowali się w filantropię, edukację, zakładali spółki przemysłowe, banki spółdzielcze, wspierali rodzącą się w tym okresie warstwę robotniczą. Krótko mówiąc – stanowili jakby odległy prototyp przyszłej epoki postpolitycznej, w stylu Clintonowskim – gospodarka, głupku. Czy na pewno?

Całe szczęście jest to obraz w zupełności fałszywy. Wartości najważniejsze dla Dezyderego Chłapowskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Piotra Wawrzyniaka, Augustyna Szamarzewskiego, członków Spółki Bazar Poznański i wielu, wielu innych, były dokładnie takie same, jak te, które wyznawało poprzedzające ich pokolenie romantyków. Chodziło mianowicie o polską podmiotowość. Chodziło o to, aby w warunkach szalejącego niemieckiego szowinizmu czasów HaKaTy dać żywiołowi polskiemu możliwość przetrwania i budowy podstaw (intelektualnych i materialnych) przyszłej suwerenności. Przykładowo – czy do narracji postpolitycznej pasowałoby zjawisko, które miało miejsce w spółce Bazar Poznański, gdzie powierzchownie sklepów mogli wynająć wyłącznie polscy kupcy? Czyż to nie jawny szowinizm? A wyrzucenie z hukiem za drzwi komunisty Marcina Kasprzaka z zebrania udziałowców tej samej

spółki, czyż nie świadczy dobitnie o głębokim patriotyzmie i przywiązaniu do narodowej tożsamości, miast nowinkarskich, internacjonalistycznych ideologii?

Powiedzmy to jeszcze raz, dobitnie – wielkopolski (ale także polski) pozytywizm był do szpiku kości przywiązany do idei niepodległej Polski jako wspólnoty ducha. Wbrew fałszywym stereotypom nie miał nic wspólnego z postawą „nie wyszły nam powstania, więc rzućmy wreszcie w kąć mesjanizm i, do cholery, urządzmy się wreszcie wygodnie na tym świecie”.

Jeżeli pozytywiści angażowali się w edukację, to po to, aby mieć możliwość wychowania polskich patriotów. Jeśli angażowali się w filantropię, to po to, aby oddalić zagrożenie rewolucji proletariackiej, która sprawie polskiej mogła tylko zaszkodzić. Jeśli zakładali spółki i budowali fabryki, to po to, aby stanowiły przeciwwagę dla niemieckiego monopolistycznego kapitalizmu.

Od drugiej połowy XIX wieku minęło 150 lat. Mamy za sobą 50 lat „belle époque”, 50 lat zawieruchy 2 wojen światowych, a wreszcie 50 lat globalizacji, epoki, jakby chcieli niektórzy, post-historycznej i post-politycznej. Epoki stabilizacji, „urządzania się”, niepohamowanej konsumpcji. Epoki, w której spory ideologiczne, ba, wszystkie spory o pryncypia odsunięto na dalszy plan, jako szkodliwe i konfliktogenne. Wieszczono nam niekończącą się epokę pokoju i dobrobytu, gdzie jedynym dopuszczalnym światopoglądem jest neutralność światopoglądowa.

Na naszych oczach ten miraż się rozwiewa. Bezsprzecznie epoka dobrobytu na kredyt ujawnia dziś właśnie całą swą kruchość i fałsz. Moloch się zachwiał, rządy tracą pod nogami grunt niekwestionowanych przez dziesięciolecia dogmatów. Trwa gorączkowe poszukiwanie jakiegokolwiek punktu oparcia.

I owszem – nowe punkty oparcia wydają się dziwnie znajome. Jakbyśmy przeżywali zbiorowe, europejskie déjà-vu, nagły powrót do dziewiętnastowiecznego, powiedeńskiego koncertu mocarstw. Furda interes wspólnej Europy, teraz kanclerz Niemiec broni wyłącznie interesów własnego kraju (czy to kogoś dziwi?). Nie inaczej działa

prezydent Francji i pozostali wielcy soliści. Trwa światowa „currency war”, wali się w gruzy solidarność wspólnoty europejskiej, światowa upadła zanim zdążyła się narodzić. Naprędce odkurza się dawno zapomniane pojęcia, jak suwerenność, interes narodowy, a także pojęcia wyklęte, jak protekcjonizm. To tendencja widoczna wszędzie... tylko nie w Polsce.

My zaś, wciąż zachłyśnięci tak niedawno zdobytą wolnością, nieodmiennie wpisujemy się w dychotomię opisaną przez hrabiego Fredrę – Polski sarmackiej i nowinkarskiej. Grzechy sarmatów znamy. Współcześni nowinkarze zaś (dominujący w dyskursie publicznym) wyznają pogląd, że wszystko to, co wiąże się z otwarciem (w domyśle – na „cywilizację”), wyjściem z narodowego grajdoła, procesem międzynarodowej integracji, jest czymś wysoce pożądanym. Stąd zestaw pojęć właśnie wracający do łask na salonach ubóstwianego przecież Zachodu, musi budzić ich konfuzję. Jakże to bowiem, czyżby integracja europejska miała ulec zahamowaniu? Czy projekt wspólnej waluty musi upaść? Czy trend liberalizacji handlu światowego nagle ulega odwróceniu? Czyż mamy, zaledwie po dekadzie-dwóch, znów diametralnie zmieniać poglądy?...

Musimy im pomóc. Musimy pokazać, że mieliśmy już w historii naszego kraju takie momenty, gdy modernizacja szła w parze z narodową podmiotowością. Gdy wzrost ekonomiczny, rozwój edukacji i

filantropii szły pod sztandarem nie rezygnacji z polskości, ale jej obrony. I właśnie wokół tej wartości jednoczyło się wiele bardzo różnych opcji politycznych, chyba tylko poza Marcinem Kasprzakiem.

Któż ma przekonać do tego naszych współziomków, jeśli nie my, Wielkopolanie? Przecież to my właśnie poprzez budowę cywilizacyjnych podwalin państwowości wygraliśmy najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. To my potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, aby ten potencjał wnieść jak wiano Wielkopolski do rodzącej się wolnej Polski. Teraz też jest moment historyczny, aby znaleźć wspólny mianownik dla poglądów wielu opcji. Wzorem z Zachodu niech będzie (przepraszam wrażliwych za brzydkie słowo) interes narodowy.

Łukasz Ferchmin

Wielkopolska ma własne porachunki z historią. Nie byliśmy główną areną walk powstańczych w XIX wieku (choć we wszystkich nasi dziadowie brali udział), ale za to solidarnie doświadczaliśmy skutków ich klęsk. Jednocześnie jednak klęski te dawały nam zawsze impuls do poszukiwania nowej, własnej drogi. Przecież dwie z nich: wojny napoleońskie i Powstanie Listopadowe, to początki ruchu organicznikowskiego w Wielkopolsce. To dwa kluczowe momenty, łączone z postaciami generała Chłapowskiego i doktora Marcinkowskiego. To niezwykle chlubna karta naszej historii, nie dziwi więc, że wielu chciałoby się czuć jej spadkobiercami - tak jak skrajnie antyromantyczna szkoła krytyki literatury Marii Janion.

Wiele rzeczy potwierdza przeciwstawność poglądów wielkopolskich romantyków i pozytywistów. Ci drudzy zrezygnowali z działalności konspiracyjnej na rzecz tzw. „legalizmu poznańskiego”. Zrezygnowali z walki zbrojnej i jej przygotowań na rzecz tworzenia podstaw awansu cywilizacyjnego ziem polskich. Tworzyli towarzystwa naukowe, angażowali się w filantropię, edukację, zakładali spółki przemysłowe, banki spółdzielcze, wspierali rodzącą się w tym okresie warstwę robotniczą. Krótko mówiąc – stanowili jakby odległy prototyp przyszłej epoki postpolitycznej, w stylu Clintonowskim – gospodarka, głupku. Czy na pewno?

Całe szczęście jest to obraz w zupełności fałszywy. Wartości najważniejsze dla Dezyderego Chłapowskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Piotra Wawrzyniaka, Augustyna Szamarzewskiego, członków Spółki Bazar Poznański i wielu, wielu innych, były dokładnie takie same, jak te, które wyznawało poprzedzające ich pokolenie romantyków. Chodziło mianowicie o polską podmiotowość. Chodziło o to, aby w warunkach szalejącego niemieckiego szowinizmu czasów HaKaTy dać żywiołowi polskiemu możliwość przetrwania i budowy podstaw (intelektualnych i materialnych) przyszłej suwerenności. Przykładowo – czy do narracji postpolitycznej pasowałoby zjawisko, które miało miejsce w spółce Bazar Poznański, gdzie powierzchnie sklepów mogli wynająć wyłącznie polscy kupcy? Czyż to nie jawny szowinizm? A wyrzucenie z hukiem za drzwi komunisty Marcina Kasprzaka z zebrania udziałowców tej samej spółki, czyż nie świadczy dobitnie o głębokim patriotyzmie i przywiązaniu do narodowej tożsamości, miast nowinkarskich, internacjonalistycznych ideologii?

Powiedzmy to jeszcze raz, dobitnie – wielkopolski (ale także polski) pozytywizm był do szpiku kości przywiązany do idei niepodległej Polski jako wspólnoty ducha. Wbrew fałszywym stereotypom nie miał nic wspólnego z postawą „nie wyszły nam powstania, więc rzućmy wreszcie w kąt mesjanizm i, do cholery, urządzmy się wreszcie wygodnie na tym świecie”.

Jeżeli pozytywiści angażowali się w edukację, to po to, aby mieć możliwość wychowania polskich patriotów. Jeśli angażowali się w filantropię, to po to, aby oddalić zagrożenie rewolucji proletariackiej, która sprawie polskiej mogła tylko zaszkodzić. Jeśli zakładali spółki i budowali fabryki, to po to, aby stanowiły przeciwwagę dla niemieckiego monopolistycznego kapitalizmu.

Od drugiej połowy XIX wieku minęło 150 lat. Mamy za sobą 50 lat „belle époque”, 50 lat zawieruchy 2 wojen światowych, a wreszcie 50 lat globalizacji, epoki, jakby chcieli niektórzy, post-historycznej i post-politycznej. Epoki stabilizacji, „urządzania się”, niepohamowanej konsumpcji. Epoki, w której spory ideologiczne, ba, wszystkie spory o pryncypia odsunięto na dalszy plan, jako szkodliwe i konfliktogenne. Wieszczone nam niekończącą się epokę pokoju i dobrobytu, gdzie jedynym dopuszczalnym światopoglądem jest neutralność światopoglądowa.

Na naszych oczach ten miraż się rozwiewa. Bezsprzecznie epoka dobrobytu na kredyt ujawnia dziś właśnie całą swą kruchość i fałsz. Moloch się zachwiał, rządy tracą pod nogami grunt niekwestionowanych przez dziesięciolecia dogmatów. Trwa gorączkowe poszukiwanie jakiegokolwiek punktu oparcia.

I owszem – nowe punkty oparcia wydają się dziwnie znajome. Jakbyśmy przeżywali zbiorowe, europejskie déjà-vu, nagły powrót do dziewiętnastowiecznego, powiedeńskiego koncertu mocarstw. Furda interes wspólnej Europy, teraz kanclerz Niemiec broni wyłącznie interesów własnego kraju (czy to kogoś dziwi?). Nie inaczej działa prezydent Francji i pozostali wielcy soliści. Trwa światowa „currency war”, wali się w gruzy solidarność wspólnoty europejskiej, światowa upadła zanim zdążyła się narodzić. Naprędce odkurza się dawno zapomniane pojęcia, jak suwerenność, interes narodowy, a także pojęcia wyklęte, jak protekcjonizm. To tendencja widoczna wszędzie... tylko nie w Polsce.

My zaś, wciąż zachłyśnięci tak niedawno zdobytą wolnością, nieodmiennie wpisujemy się w dychotomię opisaną przez hrabiego Fredrę – Polski sarmackiej i nowinkarskiej. Grzechy sarmatów znamy. Współcześni nowinkarze zaś (dominujący w dyskursie publicznym) wyznają pogląd, że wszystko to, co wiąże się z otwarciem (w domyśle –

na „cywilizację”), wyjściem z narodowego grajdoła, procesem międzynarodowej integracji, jest czymś wysoce pożądanym. Stąd zestaw pojęć właśnie wracający do łask na salonach ubóstwianego przecież Zachodu, musi budzić ich konfuzję. Jakże to bowiem, czyżby integracja europejska miała ulec zahamowaniu? Czy projekt wspólnej waluty musi upaść? Czy trend liberalizacji handlu światowego nagle ulega odwróceniu? Czyż mamy, zaledwie po dekadzie-dwóch, znów diametralnie zmieniać poglądy?...

Musimy im pomóc. Musimy pokazać, że mieliśmy już w historii naszego kraju takie momenty, gdy modernizacja szła w parze z narodową podmiotowością. Gdy wzrost ekonomiczny, rozwój edukacji i filantropii szły pod sztandarem nie rezygnacji z polskości, ale jej obrony. I właśnie wokół tej wartości jednoczyło się wiele bardzo różnych opcji politycznych, chyba tylko poza Marcinem Kasprzakiem.

Któż ma przekonać do tego naszych współziomków, jeśli nie my, Wielkopolanie? Przecież to my właśnie poprzez budowę cywilizacyjnych podwalin państwowości wygraliśmy najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. To my potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, aby ten potencjał wnieść jak wiano Wielkopolski do rodzącej się wolnej Polski. Teraz też jest moment historyczny, aby

znaleźć wspólny mianownik dla poglądów wielu opcji. Wzorem z Zachodu niech będzie (przepraszam wrażliwych za brzydkie słowo) interes narodowy.

Łukasz Ferchmin

Wielkopolska ma własne porachunki z historią. Nie byliśmy główną areną walk powstańczych w XIX wieku (choć we wszystkich nasi dziadowie brali udział), ale za to solidarnie doświadczaliśmy skutków ich klęsk. Jednocześnie jednak klęski te dawały nam zawsze impuls do poszukiwania nowej, własnej drogi. Przecież dwie z nich: wojny napoleońskie i Powstanie Listopadowe, to początki ruchu organicznikowskiego w Wielkopolsce. To dwa kluczowe momenty, łączone z postaciami generała Chłapowskiego i doktora

Marcinkowskiego. To niezwykle chlubna karta naszej historii, nie dziwi więc, że wielu chciałoby się czuć jej spadkobiercami - tak jak skrajnie antyromantyczna szkoła krytyki literatury Marii Janion.

Wiele rzeczy potwierdza przeciwstawność poglądów wielkopolskich romantyków i pozytywistów. Ci drudzy zrezygnowali z działalności konspiracyjnej na rzecz tzw. „legalizmu poznańskiego”. Zrezygnowali z walki zbrojnej i jej przygotowań na rzecz tworzenia podstaw awansu cywilizacyjnego ziem polskich. Tworzyli towarzystwa naukowe, angażowali się w filantropię, edukację, zakładali spółki przemysłowe, banki spółdzielcze, wspierali rodzącą się w tym okresie warstwę robotniczą. Krótko mówiąc – stanowili jakby odległy prototyp przyszłej epoki postpolitycznej, w stylu Clintonowskim – gospodarka, głupku. Czy na pewno?

Całe szczęście jest to obraz w zupełności fałszywy. Wartości najważniejsze dla Dezyderego Chłapowskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Piotra Wawrzyniaka, Augustyna Szamarzewskiego, członków Spółki Bazar Poznański i wielu, wielu innych, były dokładnie takie same, jak te, które wyznawało poprzedzające ich pokolenie romantyków. Chodziło mianowicie o polską podmiotowość. Chodziło o to, aby w warunkach szalejącego niemieckiego szowinizmu czasów HaKaTy dać żywołowi polskiemu możliwość przetrwania i budowy podstaw (intelektualnych i

materialnych) przyszłej suwerenności. Przykładowo – czy do narracji postpolitycznej pasowałoby zjawisko, które miało miejsce w spółce Bazar Poznański, gdzie powierzchownie sklepów mogli wynająć wyłącznie polscy kupcy? Czyż to nie jawny szowinizm? A wyrzucenie z hukiem za drzwi komunisty Marcina Kasprzaka z zebrania udziałowców tej samej spółki, czyż nie świadczy dobitnie o głębokim patriotyzmie i przywiązaniu do narodowej tożsamości, miast nowinkarskich, internacjonalistycznych ideologii?

Powiedzmy to jeszcze raz, dobitnie – wielkopolski (ale także polski) pozytywizm był do szpiku kości przywiązany do idei niepodległej Polski jako wspólnoty ducha. Wbrew fałszywym stereotypom nie miał nic wspólnego z postawą „nie wyszły nam powstania, więc rzućmy wreszcie w kąć mesjanizm i, do cholery, urządzmy się wreszcie wygodnie na tym świecie”.

Jeżeli pozytywiści angażowali się w edukację, to po to, aby mieć możliwość wychowania polskich patriotów. Jeśli angażowali się w filantropię, to po to, aby oddalić zagrożenie rewolucji proletariackiej, która sprawie polskiej mogła tylko zaszkodzić. Jeśli zakładali spółki i budowali fabryki, to po to, aby stanowiły przeciwwagę dla niemieckiego monopolistycznego kapitalizmu.

Od drugiej połowy XIX wieku minęło 150 lat. Mamy za sobą 50 lat „belle époque”, 50 lat zawieruchy 2 wojen światowych, a wreszcie 50 lat globalizacji, epoki, jakby chcieli niektórzy, post-historycznej i post-politycznej. Epoki stabilizacji, „urządzania się”, niepohamowanej konsumpcji. Epoki, w której spory ideologiczne, ba, wszystkie spory o pryncypia odsunięto na dalszy plan, jako szkodliwe i konfliktogenne. Wieszczono nam niekończącą się epokę pokoju i dobrobytu, gdzie jedynym dopuszczalnym światopoglądem jest neutralność światopoglądowa.

Na naszych oczach ten miraż się rozwiewa. Bezspornie epoka dobrobytu na kredyt ujawnia dziś właśnie całą swą kruchość i fałsz. Moloch się zachwiał, rządy tracą pod nogami grunt niekwestionowanych przez dziesięciolecia dogmatów. Trwa gorączkowe poszukiwanie jakiegokolwiek punktu oparcia.

I owszem – nowe punkty oparcia wydają się dziwnie znajome. Jakbyśmy przeżywali zbiorowe, europejskie déjà-vu, nagły powrót do dziewiętnastowiecznego, powiedeńskiego koncertu mocarstw. Furda interes wspólnej Europy, teraz kanclerz Niemiec broni wyłącznie interesów własnego kraju (czy to kogoś dziwi?). Nie inaczej działa prezydent Francji i pozostali wielcy soliści. Trwa światowa „currency war”, wali się w gruzy solidarność wspólnoty europejskiej, światowa upadła zanim zdążyła się narodzić. Naprędce odkurza się dawno zapomniane pojęcia, jak suwerenność, interes narodowy, a także pojęcia wyklęte, jak protekcjonizm. To tendencja widoczna wszędzie... tylko nie w Polsce.

My zaś, wciąż zachłyśnięci tak niedawno zdobytą wolnością, nieodmiennie wpisujemy się w dychotomię opisaną przez hrabiego Fredrę – Polski sarmackiej i nowinkarskiej. Grzechy sarmatów znamy. Współcześni nowinkarze zaś (dominujący w dyskursie publicznym) wyznają pogląd, że wszystko to, co wiąże się z otwarciem (w domyśle – na „cywilizację”), wyjściem z narodowego grajdoła, procesem międzynarodowej integracji, jest czymś wysoce pożądanym. Stąd zestaw pojęć właśnie wracający do łask na salonach ubóstwianego przecież Zachodu, musi budzić ich konfuzję. Jakże to bowiem, czyżby integracja europejska miała ulec zahamowaniu? Czy projekt wspólnej waluty musi upaść? Czy trend liberalizacji handlu światowego nagle ulega odwróceniu? Czyż mamy, zaledwie po dekadzie-dwóch, znów diametralnie zmieniać poglądy?...

Musimy im pomóc. Musimy pokazać, że mieliśmy już w historii naszego kraju takie momenty, gdy modernizacja szła w parze z narodową podmiotowością. Gdy wzrost ekonomiczny, rozwój edukacji i filantropii szły pod sztandarem nie rezygnacji z polskości, ale jej obrony. I właśnie wokół tej wartości jednoczyło się wiele bardzo różnych opcji politycznych, chyba tylko poza Marcinem Kasprzakiem.

Któż ma przekonać do tego naszych współziomków, jeśli nie my, Wielkopolanie? Przecież to my właśnie poprzez budowę cywilizacyjnych podwalin państwowości wygraliśmy najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. To my potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, aby ten potencjał wnieść jak wiano Wielkopolski do rodzącej się wolnej Polski. Teraz też jest moment historyczny, aby znaleźć wspólny mianownik dla poglądów wielu opcji. Wzorem z Zachodu niech będzie (przepraszam wrażliwych za brzydkie słowo) interes narodowy.

Łukasz Ferchmin

Wielkopolska ma własne porachunki z historią. Nie byliśmy główną areną walk powstańczych w XIX wieku (choć we wszystkich nasi dziadowie brali udział), ale za to solidarnie doświadczaliśmy skutków ich klęsk. Jednocześnie jednak klęski te dawały nam zawsze impuls do poszukiwania nowej, własnej drogi. Przecież dwie z nich: wojny napoleońskie i Powstanie Listopadowe, to początki ruchu organicznikowskiego w Wielkopolsce. To dwa kluczowe momenty, łączone z postaciami generała Chłapowskiego i doktora Marcinkowskiego. To niezwykle chlubna karta naszej historii, nie dziwi więc, że wielu chciałoby się czuć jej spadkobiercami - tak jak skrajnie antyromantyczna szkoła krytyki literatury Marii Janion.

Wiele rzeczy potwierdza przeciwstawność poglądów wielkopolskich romantyków i pozytywistów. Ci drudzy zrezygnowali z działalności konspiracyjnej na rzecz tzw. „legalizmu poznańskiego”. Zrezygnowali z walki zbrojnej i jej przygotowań na rzecz tworzenia podstaw awansu cywilizacyjnego ziem polskich. Tworzyli towarzystwa naukowe, angażowali się w filantropię, edukację, zakładali spółki przemysłowe, banki spółdzielcze, wspierali rodzącą się w tym okresie warstwę

robotniczą. Krótko mówiąc – stanowili jakby odległy prototyp przyszłej epoki postpolitycznej, w stylu Clintonowskim – gospodarka, głupku. Czy na pewno?

Całe szczęście jest to obraz w zupełności fałszywy. Wartości najważniejsze dla Dezyderego Chłapowskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Piotra Wawrzyniaka, Augustyna Szamarzewskiego, członków Spółki Bazar Poznański i wielu, wielu innych, były dokładnie takie same, jak te, które wyznawało poprzedzające ich pokolenie romantyków. Chodziło mianowicie o polską podmiotowość. Chodziło o to, aby w warunkach szalejącego niemieckiego szowinizmu czasów HaKaTy dać żywiołowi polskiemu możliwość przetrwania i budowy podstaw (intelektualnych i materialnych) przyszłej suwerenności. Przykładowo – czy do narracji postpolitycznej pasowałoby zjawisko, które miało miejsce w spółce Bazar Poznański, gdzie powierzchownie sklepów mogli wynająć wyłącznie polscy kupcy? Czyż to nie jawny szowinizm? A wyrzucenie z hukiem za drzwi komunisty Marcina Kasprzaka z zebrania udziałowców tej samej spółki, czyż nie świadczy dobitnie o głębokim patriotyzmie i przywiązaniu do narodowej tożsamości, miast nowinkarskich, internacjonalistycznych ideologii?

Powiedzmy to jeszcze raz, dobitnie – wielkopolski (ale także polski) pozytywizm był do szpiku kości przywiązany do idei niepodległej Polski jako wspólnoty ducha. Wbrew fałszywym stereotypom nie miał nic wspólnego z postawą „nie wyszły nam powstania, więc rzućmy wreszcie w kąć mesjanizm i, do cholery, urządzmy się wreszcie wygodnie na tym świecie”.

Jeżeli pozytywiści angażowali się w edukację, to po to, aby mieć możliwość wychowania polskich patriotów. Jeśli angażowali się w filantropię, to po to, aby oddalić zagrożenie rewolucji proletariackiej, która sprawie polskiej mogła tylko zaszkodzić. Jeśli zakładali spółki i budowali fabryki, to po to, aby stanowiły przeciwwagę dla niemieckiego monopolistycznego kapitalizmu.

Od drugiej połowy XIX wieku minęło 150 lat. Mamy za sobą 50 lat „belle epoque”, 50 lat zawieruchy 2 wojen światowych, a wreszcie 50 lat globalizacji, epoki, jakby chcieli niektórzy, post-historycznej i post-politycznej. Epoki stabilizacji, „urządzenia się”, niepoohamowanej

konsumpcji. Epoki, w której spory ideologiczne, ba, wszystkie spory o pryncypia odsunięto na dalszy plan, jako szkodliwe i konfliktogenne. Wieszczono nam niekończącą się epokę pokoju i dobrobytu, gdzie jedynym dopuszczalnym światopoglądem jest neutralność światopoglądowa.

Na naszych oczach ten miraż się rozwiewa. Bezspornie epoka dobrobytu na kredyt ujawnia dziś właśnie całą swą kruchość i fałsz. Moloch się zachwiał, rządy tracą pod nogami grunt niekwestionowanych przez dziesięciolecia dogmatów. Trwa gorączkowe poszukiwanie jakiegokolwiek punktu oparcia.

I owszem – nowe punkty oparcia wydają się dziwnie znajome. Jakbyśmy przeżywali zbiorowe, europejskie deja-vu, nagły powrót do dziewiętnastowiecznego, powiedeńskiego koncertu mocarstw. Furda interes wspólnej Europy, teraz kanclerz Niemiec broni wyłącznie interesów własnego kraju (czy to kogoś dziwi?). Nie inaczej działa prezydent Francji i pozostali wielcy soliści. Trwa światowa „currency war”, wali się w gruzy solidarność wspólnoty europejskiej, światowa upadła zanim zdążyła się narodzić. Naprędce odkurza się dawno zapomniane pojęcia, jak suwerenność, interes narodowy, a także pojęcia wyklęte, jak protekcjonizm. To tendencja widoczna wszędzie... tylko nie w Polsce.

My zaś, wciąż zachłyśnięci tak niedawno zdobytą wolnością, nieodmiennie wpisujemy się w dychotomię opisaną przez hrabiego Fredrę – Polski sarmackiej i nowinkarskiej. Grzechy sarmatów znamy. Współcześni nowinkarze zaś (dominujący w dyskursie publicznym) wyznają pogląd, że wszystko to, co wiąże się z otwarciem (w domyśle – na „cywilizację”), wyjściem z narodowego grajdoła, procesem międzynarodowej integracji, jest czymś wysoce pożądanym. Stąd zestaw pojęć właśnie wracający do łask na salonach ubóstwianego przecież Zachodu, musi budzić ich konfuzję. Jakże to bowiem, czyżby integracja europejska miała ulec zahamowaniu? Czy projekt wspólnej waluty musi upaść? Czy trend liberalizacji handlu światowego nagle ulega odwróceniu? Czyż mamy, zaledwie po dekadzie-dwóch, znów diametralnie zmieniać poglądy?...

Musimy im pomóc. Musimy pokazać, że mieliśmy już w historii naszego kraju takie momenty, gdy modernizacja szła w parze z narodową podmiotowością. Gdy wzrost ekonomiczny, rozwój edukacji i filantropii szły pod sztandarem nie rezygnacji z polskości, ale jej obrony. I właśnie wokół tej wartości jednoczyło się wiele bardzo różnych opcji politycznych, chyba tylko poza Marcinem Kasprzakiem.

Któż ma przekonać do tego naszych współziomków, jeśli nie my, Wielkopolanie? Przecież to my właśnie poprzez budowę cywilizacyjnych podwalin państwowości wygraliśmy najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. To my potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, aby ten potencjał wnieść jak wiano Wielkopolski do rodzącej się wolnej Polski. Teraz też jest moment historyczny, aby znaleźć wspólny mianownik dla poglądów wielu opcji. Wzorem z Zachodu niech będzie (przepraszam wrażliwych za brzydkie słowo) interes narodowy.

Łukasz Ferchmin

Wielkopolska ma własne porachunki z historią. Nie byliśmy główną areną walk powstańczych w XIX wieku (choć we wszystkich nasi dziadowie brali udział), ale za to solidarnie doświadczaliśmy skutków

ich klęsk. Jednocześnie jednak klęski te dawały nam zawsze impuls do poszukiwania nowej, własnej drogi. Przecież dwie z nich: wojny napoleońskie i Powstanie Listopadowe, to początki ruchu organicznikowskiego w Wielkopolsce. To dwa kluczowe momenty, łączone z postaciami generała Chłapowskiego i doktora Marcinkowskiego. To niezwykle chlubna karta naszej historii, nie dziwi więc, że wielu chciałoby się czuć jej spadkobiercami - tak jak skrajnie antyromantyczna szkoła krytyki literatury Marii Janion.

Wiele rzeczy potwierdza przeciwstawność poglądów wielkopolskich romantyków i pozytywistów. Ci drudzy zrezygnowali z działalności konspiracyjnej na rzecz tzw. „legalizmu poznańskiego”. Zrezygnowali z walki zbrojnej i jej przygotowań na rzecz tworzenia podstaw awansu cywilizacyjnego ziem polskich. Tworzyli towarzystwa naukowe, angażowali się w filantropię, edukację, zakładali spółki przemysłowe, banki spółdzielcze, wspierali rodzącą się w tym okresie warstwę robotniczą. Krótko mówiąc – stanowili jakby odległy prototyp przyszłej epoki postpolitycznej, w stylu Clintonowskim – gospodarka, głupku. Czy na pewno?

Całe szczęście jest to obraz w zupełności fałszywy. Wartości najważniejsze dla Dezyderego Chłapowskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Piotra Wawrzyniaka, Augustyna Szamarzewskiego, członków Spółki Bazar Poznański i wielu, wielu

innych, były dokładnie takie same, jak te, które wyznawało poprzedzające ich pokolenie romantyków. Chodziło mianowicie o polską podmiotowość. Chodziło o to, aby w warunkach szalejącego niemieckiego szowinizmu czasów HaKaTy dać żywiłowi polskiemu możliwość przetrwania i budowy podstaw (intelektualnych i materialnych) przyszłej suwerenności. Przykładowo – czy do narracji postpolitycznej pasowałoby zjawisko, które miało miejsce w spółce Bazar Poznański, gdzie powierzchownie sklepów mogli wynająć wyłącznie polscy kupcy? Czyż to nie jawny szowinizm? A wyrzucenie z hukiem za drzwi komunisty Marcina Kasprzaka z zebrania udziałowców tej samej spółki, czyż nie świadczy dobitnie o głębokim patriotyzmie i przywiązaniu do narodowej tożsamości, miast nowinkarskich, internacjonalistycznych ideologii?

Powiedzmy to jeszcze raz, dobitnie – wielkopolski (ale także polski) pozytywizm był do szpiku kości przywiązany do idei niepodległej Polski jako wspólnoty ducha. Wbrew fałszywym stereotypom nie miał nic wspólnego z postawą „nie wyszły nam powstania, więc rzućmy wreszcie w kąć mesjanizm i, do cholery, urządzmy się wreszcie wygodnie na tym świecie”.

Jeżeli pozytywiści angażowali się w edukację, to po to, aby mieć możliwość wychowania polskich patriotów. Jeśli angażowali się w filantropię, to po to, aby oddalić zagrożenie rewolucji proletariackiej,

która sprawie polskiej mogła tylko zaszkodzić. Jeśli zakładali spółki i budowali fabryki, to po to, aby stanowiły przeciwwagę dla niemieckiego monopolistycznego kapitalizmu.

Od drugiej połowy XIX wieku minęło 150 lat. Mamy za sobą 50 lat „belle époque”, 50 lat zawieruchy 2 wojen światowych, a wreszcie 50 lat globalizacji, epoki, jakby chcieli niektórzy, post-historycznej i post-politycznej. Epoki stabilizacji, „urządzania się”, niepoohamowanej konsumpcji. Epoki, w której spory ideologiczne, ba, wszystkie spory o pryncypia odsunięto na dalszy plan, jako szkodliwe i konfliktogenne. Wieszczono nam niekończącą się epokę pokoju i dobrobytu, gdzie jedynym dopuszczalnym światopoglądem jest neutralność światopoglądowa.

Na naszych oczach ten miraż się rozwiewa. Bezspornie epoka dobrobytu na kredyt ujawnia dziś właśnie całą swą kruchość i fałsz. Moloch się zachwiał, rządy tracą pod nogami grunt niekwestionowanych przez dziesięciolecia dogmatów. Trwa gorączkowe poszukiwanie jakiegokolwiek punktu oparcia.

I owszem – nowe punkty oparcia wydają się dziwnie znajome. Jakbyśmy przeżywali zbiorowe, europejskie déjà-vu, nagły powrót do dziewiętnastowiecznego, powiedeńskiego koncertu mocarstw. Furda interes wspólnej Europy, teraz kanclerz Niemiec broni wyłącznie interesów własnego kraju (czy to kogoś dziwi?). Nie inaczej działa prezydent Francji i pozostali wielcy soliści. Trwa światowa „currency war”, wali się w gruzy solidarność wspólnoty europejskiej, światowa upadła zanim zdążyła się narodzić. Naprędce odkurza się dawno zapomniane pojęcia, jak suwerenność, interes narodowy, a także pojęcia wyklęte, jak protekcjonizm. To tendencja widoczna wszędzie... tylko nie w Polsce.

My zaś, wciąż zachłyśnięci tak niedawno zdobytą wolnością, nieodmiennie wpisujemy się w dychotomię opisaną przez hrabiego Fredrę – Polski sarmackiej i nowinkarskiej. Grzechy sarmatów znamy. Współcześni nowinkarze zaś (dominujący w dyskursie publicznym) wyznają pogląd, że wszystko to, co wiąże się z otwarciem (w domyśle – na „cywilizację”), wyjściem z narodowego grajdoła, procesem międzynarodowej integracji, jest czymś wysoce pożądanym. Stąd zestaw pojęć właśnie wracający do łask na salonach ubóstwianego przecież Zachodu, musi budzić ich konfuzję. Jakże to bowiem, czyżby integracja europejska miała ulec zahamowaniu? Czy projekt wspólnej

waluty musi upaść? Czy trend liberalizacji handlu światowego nagle ulega odwróceniu? Czyż mamy, zaledwie po dekadzie-dwóch, znów diametralnie zmieniać poglądy?...

Musimy im pomóc. Musimy pokazać, że mieliśmy już w historii naszego kraju takie momenty, gdy modernizacja szła w parze z narodową podmiotowością. Gdy wzrost ekonomiczny, rozwój edukacji i filantropii szły pod sztandarem nie rezygnacji z polskości, ale jej obrony. I właśnie wokół tej wartości jednoczyło się wiele bardzo różnych opcji politycznych, chyba tylko poza Marcinem Kasprzakiem.

Któż ma przekonać do tego naszych współziomków, jeśli nie my, Wielkopolanie? Przecież to my właśnie poprzez budowę cywilizacyjnych podwalin państwowości wygraliśmy najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. To my potrafiliśmy wykorzystać moment historyczny, aby ten potencjał wnieść jak wiano Wielkopolski do rodzącej się wolnej Polski. Teraz też jest moment historyczny, aby znaleźć wspólny mianownik dla poglądów wielu opcji. Wzorem z Zachodu niech będzie (przepraszam wrażliwych za brzydkie słowo) interes narodowy.

Łukasz Ferchmin